



Stefanie Zweig

# DOM

PRZY ALEI

ROTHSCHILDÓW

Wirtuozerska powieść, w której idylla zderza się  
z tragiczną historią pierwszych lat XX wieku

## C E L O S I A Ğ N I Ę T Y

Frankfurt, 27 stycznia 1900

⊙

Jak zawsze od dwunastu lat dwudziestego siódmego stycznia nad Berlinem jaśniało słońce. W dniu urodzin cesarza Wilhelma II słońce i mieszkańcy stolicy Rzeszy szli w zawody, kto promień będzie większym blaskiem. Ci drudzy śmiało przechadzali się wspaniałymi alejami i każdy z nich wiedział, że „cesarska pogoda” jest specjalnością ich miasta.

Zdecydowanie mniej wierne cesarzowi okazały się styczniowe wiatry, które ciągnęły w kierunku Frankfurtu z Taunusu (1). W niegdyśniejszym wolnym mieście Rzeszy ludzie mieli zbyt wiele obywatelskiej dumy i sceptycyzmu, by zawierzyć nowomodnym monarchistycznym mitom. Cesarskie urodziny były w odczuciu frankfurtczyków dniem, który nie różnił się od pozostałych trzydziestu dni miesiąca. Z niezadowoleniem nazywali styczeń bezwzględny dzikus. Za złą opinię ów zuchwały koleżka odpłacił tą samą monetą. Często nawet jego złą sławę przyćmiewały załamania pogody prowadzące do tragedii.

Dwudziesty siódmy stycznia tysiąc dziewięćsetnego roku w pięknym mieście nad Menem był jednak jaskrawym dowodem na to, że w meteorologii zdawanie się na uogólnienia jest jeszcze trudniejsze niż w innych, bardziej przewidywalnych obszarach. Tamtej ostatniej styczniowej soboty we Frankfurcie było ciepło i słonecznie, a czubki wież kościelnych błyszczą niczym pozłacane kopuły z księgi baśni. „Pogoda sprzyja marcowaniu” — zauważali wesoło spacerowicze przechadzający się brzegiem rzeki. Tego potocznego określenia używano wiosną, znakomicie odzwierciedlało ono jednak radość życia, którą w dniu czterdziestych pierwszych urodzin Jego Wysokości cesarza Wilhelma II odczuwali ludzie — od gospód w dzielnicy Sachsenhausen słynących z wina jabłkowego aż po pola na wzgórzu Lohrberg. Niebo nad frankfurtczykami, znanymi z tego, że wierzyli jedynie w rzeczy, które mogli zobaczyć lub których mogli dotknąć albo spróbować, od tygodni nie było

---

(1) Taunus — niskie pasmo górskie w Hesji w sąsiedztwie doliny Menu.

tak przejrzyste i błękitne jak dwudziestego siódmego stycznia tysiąc dziewięćsetnego roku.

Tak nieczęsta łaskawość pogody rozświetlała najciemniejszą izbę czeladną. Słońce dosięgało wilgotnych murów w wąskich uliczkach i z niezwykłą mocą padało na pałace oraz przestronne place, których było w mieście coraz więcej. W świetle nadziei jasno połyskiwały pióra na ogonach kurków. Stare wieże miejskie wyglądały tak, jakby w nocy zostały wyczyszczone. Przy ulicy Zeil oraz Kaiserstrasse wścibskie wróble na dachu ćwierkały, że niebawem nadejdzie wiosna. Wypucowane dorożki ciągnięte były przez dopiero co wyszczotkowane konie.

Na koniec ostatniego tygodnia stycznia tego nowego jeszcze stulecia barwny tłum we Frankfurcie wiwatował na cześć świata jakby ten dopiero co powstał. Nawet ponuracy uśmiechali się, gdy uchylali kapelusza, przesyłając znajomym pozdrowienie. Starsze panie połuźniały szale, pożądliwie wystawiały twarze ku słońcu i wspominały czasy, w których jeszcze i do nich przyływały wiosenne marzenia.

Młoda kwaciarka w spódnicy w kratę i ciasno zasznurowanym gorsecie sprzedawała na placu przed katedrą wiosenne kwiaty z cieplarni. Jakiś młody mężczyzna kupił czerwoną różę na długiej łądydze. Sprzedawczyni dygnęła, różany kawaler zarumienił się i w pośpiechu poszedł dalej. W witrynie jednej z lubianych cukierni, pomiędzy brzegiem Menu a Römerbergiem (2), na wysokim torcie błyszcząły czerwone kandyzowane wiśnie i liście z trawiastzielonego marcepanu. Na niskim murku naprzeciwko kawiarni siedziały dwa koty. Myły sobie wąsy i spod przymkniętych powiek przyglądały się spacerowicom.

---

(2) Römerberg — plac ratuszowy we Frankfurcie.

Młode psy ganiały własne ogony, starsze kuśtykały w takim samym tempie jak ich sędziwi właściciele. Z jednego z podwórzy dobiegały radosne dźwięki katarynki i wznosiły się ku wierzchołkom drzew rosnących nad rzeką.

To, że cesarskie święto przypadało w sobotę, cieszyło również zatwardziałych republikanów. Sobota była przecież z reguły dniem pracy i obowiązków, podobnie jak każdy inny dzień. Nawet gospodynie zatrudniające służbę przed niedzielą miały na głowie tyle przygotowań, że nastawał wieczór, zanim znajdowały chwilę, żeby odsapnąć. Dwudziestego siódmego stycznia tysiąc dziewięćsetnego roku przykładowej strażniczce domowego ogniska dość było wyrzucić przez okno, aby stała się marnotrawiącą czas marzycielką.

— Już czuję zapach wiosny — radowała się Betsy Sternberg, kiedy stojąc w nowej kuchni o dziewiątej rano, wkładała do nowiutkiego pieca pierwsze z dwóch niedzielnych ciast. Był to wyjątkowo wykwintny migdałowiec z sułtankami, przyozdobiony kandyzowanymi fiołkami, według przepisu jej ciotecznej babki Julchen. Uczynna ciotka Julchen zwykła na specjalne okazje przysyłać delicje — pierwsze ciasto upieczone w nowej kuchni było właśnie taką sposobnością.

Małżonek Betsy uważał trzeźwość za siostrę mądrości. Dlatego też natychmiast stłumił w żonie przedwczesne odurzenie wiosną.

— Wydaje mi się — powiedział — że czujesz raczej zapach sułtanek namoczonych w moim dobrym rumie, droga Betsy. Od rumu bowiem kręci w nosie. Nie nauczyłaś się tego w swoim domu? Chodź, zapomnij na chwilę o cieście. Twój mąż ma zamiar poddać się żywiołowi.

— Byle nie złowrogiemu (3) — zaśmiała się jego żona. Otrzymała staranne wychowanie i była obeznana w literaturze klasycznej. Cytowała Schillera, kiedy tylko nadarzała się sposobność.

Johann Isidor Sternberg, prawie czterdziestoletni przedsiębiorca z niemałą fortuną, poważany i ambitny, od czterech tygodni posiadacz domu, ojciec jednego syna, założył ciężki czarny płaszcz z szarym futrzanym kołnierzem i zdjął z wieszaka kapelusz, który Betsy dzień wcześniej odświeżyła parą. Nie chodził do synagogi regularnie co sobotę, podczas szabasu, który zbiegał się w czasie z urodzinami cesarza, miał jednak potrzebę pomodlić się za pomyślność tegoż oraz narodu niemieckiego.

— Dzień wyjątkowy — powiedział, szykując się do wyjścia z domu — absolutnie wyjątkowy. — Johann Isidor pogładził żonę po włosach i dodał, żeby dbała o siebie.

— Odpowiadasz teraz za dwoje — przypomniał.

Policzki Betsy zarumieniły się. Czy jej mąż wiedział, jak bardzo podniecało ją, kiedy czynił aluzje na temat cielesności? Myślała o tym, czule na niego spoglądając. Lewą ręką dotknęła swego brzucha, usta układały się w słowo, którego nigdy nie odważyłaby się wypowiedzieć w jego obecności.

Johann Isidor, który od dawna nie zajmował się jedynie detalicznym i hurtowym handlem suknem, nie tylko w oczach swojej kochającej małżonki był człowiekiem wyjątkowym. Pod wieloma względami wyprzedzał swoje czasy. Był tolerancyjny, żądny wiedzy, sprawiedliwy w osądach, rozważny w działaniu i zawsze wypowiadał się w sposób odpowiedni do sytuacji, również gdy rozmawiał z podwładnymi czy dziećmi. Nawet w towarzystwie

---

(3) Nawiązanie do słów wiersza Friedricha Schillera *Pieśń o dzwonie*: „Mąż już musi teraz / W żywioł iść złowrogi” (przeł. Andrzej Lam).

gości nie krępował się pokazywać, że żona i syn znaczą dla niego więcej niż sława i honor. „Młody pan Sternberg”, jak nadal mówiono o nim w wielu miejscach, okazywał hojność, kiedy nadarzała się okazja. Rozrzutny nie był nigdy. Już jako chłopiec prowadził dokładną ewidencję księgową szklanych kulek.

Z okazji przeprowadzki w aleję Rothschildów Johann Isidor podarował swojej Betsy błękitne lniane makatki wyszyte drobnym ściegiem krzyżykowym. Zdobił je napis: „Nie uskarżaj się na poranek, znój i pracę niosący — wspaniale bowiem jest dbać o ludzi, których się kocha”. Prezent kazał opakować w delikatny jedwabny papier i wręczył Betsy ze słowami: „Na pamiątkę naszego pierwszego wspólnego śniadania przy alei Rothschildów”.

— Ach, jak ten papier szeleści — zauważyła.

Myśl, że młoda żona potrafi wyraźnie ucieszyć się z tak skromnego podarunku, radowała jej męża jeszcze wtedy, gdy od strony ulicy zamykał za sobą czarną bramę z kutego żelaza. Harmonia tej krótkiej scenki wypełniała jego serce ufnością. Skromna małżonka była darem niebios, gwarantem męskiego szczęścia, podporą i pociechą w ponure dni. Nadchodzące lata jawiły się Johannowi Isidorowi jako pełne słonecznego blasku. Tak jak dzień, który właśnie się rozpoczął.

— Dziękuję — wymamrotał.

Obejrzał się dookoła zakłopotany. Wieki minęły, odkąd ostatnio składał Bogu dziękczynienie na ulicy.

Choć pieśń o radosnym wędrowcu doprawdy nie była odpowiednia dla poważnego obywatela, który miał zamiar pójść do synagogi i prosić o niebiańskie błogosławieństwo dla niemieckiego cesarza, to tenże obywatel wciąż nucił pod nosem jej melodię i sam sobie wydawał się uczniakiem, któremu zadowolony nauczyciel powierzył szczególne zadanie. W bezgranicznie

dobrym nastroju, który zupełnie nie współgrał z jego usposobieniem, wyobrażał sobie, jak bardzo jego droga Betsy poruszona będzie wieczorem, kiedy podczas kolacji obok swojego talerza znajdzie paczuszkę przewiazaną wiśniową jedwabną wstążką. Na pamiątkę przeprowadzki do własnego domu Johann Isidor kupił w sklepie z antykami J&S Goldschmidt przy Kaiserstrasse złotą broszkę z pięcioma granatami. Całkiem okazałą. „Oraz bardzo reprezentacyjną” — potwierdził młodszy z Goldschmidtów.

Betsy również się rozmarzyła. Uśmiechając się, wyobrażała sobie ze szczegółami, że jej mąż dla uczczenia przeprowadzki do nowego mieszkania nie podarował jej praktycznej makatki, ale ciemnozielony kapelusik z kremowym strusim piórem, który już od dwóch tygodni podziwiała w nowo otwartym sklepie z nakryciami głowy przy Kaiserstrasse. Przywołała się do porządku — tego rodzaju próżność przystoi w najlepszym razie młodej dziewczynie, która nie poznała jeszcze, co to powaga życia i wyrzeczenia. Z większą niż zazwyczaj energią skruszona marzycielka otworzyła okno. Głęboko wdychała ostre zimowe powietrze i z tęsknotą spoglądała w stronę drzew pośrodku szerokiej alei. Naraz zapragnęła biegać, skakać i śpiewać, tak jak kiedyś w domu u ojca, gdy w ogrodzie kwitła jabłoń, a krzepka kucharka Auguste ubijała w kuchni śmietanę do ciasta. „Nie chcę być dorosła” — powiedziała zasapana dziewczynka z kręconymi włosami. „A więc chcesz umrzeć jako dziecko?” — zapytał ojciec. Jego córka nadal nie była pewna, czy srogo na nią spojrzął, czy się uśmiechnął.

— Ach — westchnęła pani Betsy. Obiema rękami przesuwała po zaokrąglonym brzuchu. Czekwała na moment rozwiązania. Wspomnienia bladły. Postanowiła, że w porze obiadowej pozwoli sobie na kwadrans na powietrzu. Doktor Wolf, który

znany był z równie postępowych, jak niekonwencjonalnych metod leczenia, zalecał codzienne spacerowanie.

— Pozdrów ode mnie wszystkich — zawołała za mężem, on jednak już jej nie słyszał. Jeśli tylko nie musiał mieć na względzie żony i dziecka, jego kroki stawały się długie i zdecydowane.

Konary drzew wciąż jeszcze uginały się pod ciężarem śniegu, który tydzień wcześniej spadł w ciągu jednej tylko nocy. Tym większą przyjemność sprawiało w tamtym momencie obserwowanie płatków śniegu na zamrożonej ziemi. Z każdym krokiem Johann Isidor rozkoszował się tą nagłą przemianą zimowej krainy w świat wiary i nadziei na przyszłość. Jeszcze w miniony poniedziałek życie wypełniały burze, mgły i lód. Wydelikowane kobiety z wyższych sfer musiały całymi dniami chronić skórę. Młode dziewczęta, które pomimo wszelkich przestróg odważyły się wyjść na ulicę, leżały ze zwichniętymi kostkami na szezlongach i robiły sobie zimne okłady. W niejednym wytwornym mieszkaniu pachniało octem i nudą. Zamarzający deszcz w ciągu pięciu minut sparaliżował życie w całym mieście, a mężczyźni rozmawiali o nim jeszcze na trzeci dzień.

Dochodziło do przerażających karamboli. Do wyjątkowo tragicznego zajścia doszło przy placu Eschenheimer Tor. Dwa konie zaprzężone do ciężkiej dorożki, która przewróciła się na oblodzonej drodze jak blaszanka, trzeba było dobić. U trzech pasażerek skończyło się na przerażeniu, wypadek miał dotkliwe skutki jedynie dla podróżnego z Bad Homburga, który już podczas oblężenia Paryża stracił lewą nogę. Mężczyzna z ciężkimi obrażeniami musiał zostać odwieziony do szpitala.

W końcu zima choć na krótko zelżała. Dzień urodzin cesarza już o dziesiątej rano przepełniony był radością życia. Wyfiokowane bony, zajęte rozmową niczym gadatliwe służące,

pchały dziecięce wózki przez zaśnieżone parki i skwery. Nawet w eleganckiej dzielnicy Westend dobrze ułożeni chłopcy bawili się w tamten wolny od szkoły dzień swawolnie, jak huncwoty, które nie muszą się w domu przed nikim tłumaczyć. Ubrani w drogie marynarskie czapki grali w piłkę, dzwoniли do obcych drzwi i z wrzaskiem uciekali, zanim oderwani od swoich zajęć mieszkańcy zdążyli ukarać ten występki. Dziewczynki w aksamitnych płaszczach i czepkach dobranych pod kolor, w towarzystwie wciąż upominających je matek, zachowywały się równie niesfornie jak chłopcy. Biegały tak, że aż fruwały im warkocze; piszcząc, uderzały o drewniane obręcze i z męską krzepą podcinały bacikami kolorowe bąki z drewna.

Na kolei panował wzmożony ruch. Przystojne młode damy z wdziękiem kręciły piruety. Czarne, sięgające kostek botki, które miały na nogach, i kolorowe szale ich towarzyszy błyszczwały w słońcu, tak jak czerwone dachy pospiesznie ustawionych kramów, w których wprawne sprzedawczynie oferowały grzane wino i pieczone kasztany. Znów pachniało Bożym Narodzeniem, a pewnego znanego w całym mieście starego kawalera widziano, jak wtykał po groszu dwójce ubranych dzieci.

Słońce sprawiało, że radośni byli i biedni, i bogaci. Pewien pomysłowy dziesięciolatek sam przygotował ślizgawkę — wylał na chodnik duży dzbanek wody.

— Prusacy nadchodzą — zawołał rezolutny szprync. Nie wiedział, co oznacza to zdanie. Dziadek, który zetknął się z Prusakami we Frankfurcie, zwykł w ten sposób przestrzegać wnuka.

— Gwiżdżę na Prusaków — skontrolował jego przyjaciel. Nie miał dziadka ani ojca. Miał jedynie matkę oraz, co dało się wyczytać z jego twarzy, odwagę, której potrzeba osobom poszkodowanym, by nie spuszczały głowy przy każdej zniewadze.

Również przy alei Rothschildów panowała krzątanina i budziło się życie. Czerwona piłka w żółte kropki wyleciała na ulicę. Dorożkarz musiał zahamować i zaklął tak głośno, że jego wrzask słychać było nawet na Burgstrasse. Z dala od dudniącego zgiełku stał Otto Wilhelm Samuel Sternberg. Czarnowłosy chłopiec o silnych nogach i z lokami, które jego matka uważała za czarujące, a ojciec w głębi duszy za nieco zniewieściałe, tkwił przy oknie w salonie, w którym nowe meble z ciemnozielonego weluru osłonięte były jeszcze białym sukmem. Na kosztownym perskim dywanie ze starannie rozczesanymi frędzlami nie leżał ani jeden paproch. Wykonana z dbałością o najmniejszy detal reprodukcja *Wyspy umarłych* Böcklina, chluba starego mieszkania, zawisała na ścianie w cudownej złotej ramie, której mały Otto dotykał zawsze, kiedy nikt go nie widział ani nie groził mu aresztem w piwnicznym składziku na węgiel. Bordowe aksamitne zasłony idealnie układały się przy wysokich oknach w salonie. Pani domu poleciła obszyć ich brzegi złotą lamówką, w materiale tkwiły jeszcze igły przytrzymujące zakładki. Szyby biblioteczeki lśniły tak, że Otto widział w nich swoje odbicie. Właśnie tego malec nie chciał. Odczuwał zagubienie i smutek, pomimo że nikt go za nic nie skarcił. Miał wrażenie, jakby kazano mu wstać od stołu i bez deseru odesłano do dziecięcego pokoju.

Czterolatek nic nie wiedział o urodzinach cesarza. Nie wiwatował na cześć słońca na niebie ani śniegu na drzewach. W mieszkaniu, w którym jeszcze czuć było klajster do tapet, a w którym już unosił się zapach pasty do podłóg, popłynęły łzy. Dziecięce przygnębienie ciążyło mu na sercu. Czy wiedział, że jego życie nigdy nie będzie już tak beztrudne jak w poprzednim mieszkaniu? Otto przytknął czoło do świeżo wyglansowanego

okna. Po drugiej stronie ulicy, pod drzewami, bawiło się czterech chłopców. Smyk westchnął tak, jakby o życiu wiedział wszystko. Chłopaczkowie, wszyscy w szarych włóczkowych czapkach, szamotali się, walcząc o piłkę, która chwilę wcześniej wypadła spod kół dorożki.

— Ty głupku! — Otto usłyszał krzyk najwyższego z całej czwórki.

— Sam jesteś głupek — zaprotestowało trzech pozostałych.

Najmłodszy członek rodziny Sternbergów zasłonił sobie prawą ręką lewe ucho i westchnął jeszcze głośniejszym niż poprzednio. Gdyby jego matka nie była zajęta kandyzowanymi fiołkami, które musiała ułożyć na cieście migdałowym, pospieszyłaby, żeby sprawdzić, co się dzieje z synem.

Wszyscy w kwartecie radośnie poszturchujących się chłopców mieli na sobie krótkie szare spodenki, każde z nich załatane resztkami kolorowego materiału z damskich sukienek. Wełniane pończochy — noszone w komplecie z perkalową koszulką — chroniły chuderlawe dziecięce nogi przed zimnem. Dwóch chłopców, czego niewiele później Otto miał się dowiedzieć pomimo zakazów matki, było synami gospodarza domu naprzeciwko. Dwaj pozostali, synowie furmana, mieszkali na sąsiedniej Egenolffstrasse.

— Ja też chcę — krzyknął z naciskiem pierworodny syn Johanna Isidora Sternberga. Tupnął lewą nogą i obiema rękami zabębnił w szybę. Ledwie przy śniadaniu zabroniono mu samemu otwierać okna i drzwi w nowym mieszkaniu. Otto jeszcze nie pojął, że już po wsze czasy nie będzie mógł wybiegać na ulicę i bawić się z rówieśnikami. Od tamtego momentu to jego matka miała decydować, kto znajduje się na tym samym szczeblu społecznym co jej syn i z kim wolno mu p r z e s t a w a ć.

Równie mało świadomy mógł być tego, dlaczego świat z jeszcze głębszym szacunkiem niż wcześniej kłania się jego ambitnemu, pod każdym względem cenionemu ojcu.

Tuż po podpisaniu umowy kupna ziemi przy alei Rothschildów 9 rozpoczęto budowę czteropiętrowej czynszówki. Projektował ją znany w mieście architekt Waldemar Josef Busch, o którym mówiono, że nawet z psiej budy uczyniłby wytworne mieszkanie. Dzięki pracy nad posesją Sternbergów młody inżynier budowlany w pełni potwierdził swoją dobrą reputację. Zleceniodawca dał mu wszakże wolną rękę i nie skąpił talarów ani wyrozumiałości. Jego dom był od tamtej pory najlepszym świadectwem pierwszorzędnego rzemiosła i powodem do mieszczkańskiej dumy. Miał kremowe ściany, co uważano za dosyć śmiałe, ale zgodne z duchem czasu, i kunsztowne, zwracające uwagę wysokie okna z ramami pomalowanymi na kolor ochry, piękne szerokie gzymsy, przestronne balkony i dość pompacyjne drzwi z ciemnego drewna i żółtego jak słońce szkła. Te ostatnie były charakterystyczne raczej dla Westendu niż nadal jeszcze powściągliwego Nordendu, ale właśnie w kwestii drzwi nie było z inżynierem Buschem dyskusji.

— Im większy blask, tym większe poważanie — zwykł mawiać, kiedy zleceniodawca podawał w wątpliwość, czy mądre jest afiszowanie się z dobrobytem.

Mieszkania w domach, które budował, leżały Waldemarowi Josefowi Buschowi na sercu równie mocno, jak elewacja zewnętrzna, mury i obramienia okien. Ambitny młodzieniec zajmował się nawet przydomowymi ogródkami, pralniami i piwnicami. Pokoje i jadalnie, które planował, były prawdziwymi salonami. Sypialnie sprawiały wrażenie wytwornych, również pokoje dla dzieci świadczyły o oszałamiającej samoświadomości

czasów grynderskich (4). W mieszkaniu przy alei Rothschildów 9 położono najlepszy parkiet dostępny w sprzedaży; sztukateria na sufitach z rokokowym wzorem była uciechą dla oka, drogie tapety z jedwabiu miały przetrwać stulecia i każdy kierunek w modzie. Wnękę na piec w salonie Sternbergów Busch proponował wyłożyć słynnymi kaflami z holenderskiego miasta Delft.

— Nie jestem Rothschildem — odważył się w końcu zaproponować Johann Isidor.

— Tenże — poinformował go Waldemar Zuchwały — opatruje się w piece kaflowe u dworskiego dostawcy królowej Wiktorii.

Ambitny młody inżynier pozwalał sobie na kolejne ekstrawagancje. Był stanowczym przeciwnikiem cynkowych wanien stojących za kotarą w sypialni, projektował więc łazienki, w których mieściły się zarówno wanna, jak i umywalka. Na toaletę przewidział oddzielne niewielkie pomieszczenie z mniejszą umywalką. Nawet w dzielnicy Westend rozdzielanie łazienki i toalety nie było w powszechnym zwyczaju. Na każdym piętrze w korytarzu urządzono malutki schowek, spiżarnie były prawie tak duże jak kuchnie, do których przylegały. W mansardach dla służby udało się nawet zamontować małe piece. Ponadto przewidziano tam miejsca na łóżko, szafę i umywalkę.

— Nigdy nie wiadomo — przepowiadał Waldemar Josef Busch — co przyniesie przyszłość. Może nadejdą czasy, w których zamiast służby w mansardach zamieszkają płacący za nie najemcy.

---

(4) Czasy grynderskie — okres obejmujący lata 1871—1873, kiedy po wojnie francusko-pruskiej zakładano wiele niesolidnych przedsiębiorstw, które szybko bankrutowały.



Podwórze przed domem, oświetlane przez jedną uliczną latarnię gazową, było tak szerokie, że troje dorosłych mogło swobodnie przechodzić jedno obok drugiego. Brzydkie żelazne pręty służące do trzepania pościeli i dywanów, szpecące co poniektóre domy, ustawiono w rogu tylnego dziedzińca. Rosła tam ogromna wiśnia, z którą pan domu nie chciał się rozstać.

— W domu, gdzie słycać ptaki — powiedział — pozostaje szczęście.

W podwórzu znajdowały się też bielarnia, bezpośrednio wejście do wielkiej pralni oraz miejsce na piaskownicę i basenik dla Ottona oraz jego planowanego rodzeństwa. W ogrodzie przed domem wiosną zamierzano posadzić bez oraz założyć klomb z różami.

— Mogę już wyjść na dwór? — zawołał znudzony chłopczyk. Ponieważ nie orientował się jeszcze w nowym otoczeniu, bezskutecznie marudził pod sypialnią rodziców.

— Nie, dopóki Josepha nie będzie miała czasu ci towarzyszyć — zaordynowała matka. Krótka zastukotała w formę do ciasta. — Ty w ogóle nie masz rozeznania w okolicy, chłopcze. Tego by mi jeszcze brakowało, żebyś się zgubił od razu pierwszego dnia.

— Josepha — zaprotestował mały buntownik, pociągając nosem — też nie ma rozeznania w okolicy. A mnie — dodał w przypływie krnąbrności, o której wyplenieniu ojciec wspominał przynajmniej raz dziennie — Josepha też nie zna. Ani troszeczkę.

Otto nie bez przyczyny nosił imię założyciela Rzeszy. Jego ojciec szanował Bismarcka bardziej niż trzech pozostałych niemieckich cesarzy razem wziętych. To, że niespełna czteroletni malec był bardzo uparty i nieco grymaśny, traktowano na razie jako typowo chłopięcą przypadłość. Hermine, jego cioteczna babka ze strony ojca pochodząca z Górnej Hesji, uznawana za nieprzy-

jemnie bezpośrednią i z lekka gburowatą, podczas ostatnich odwiedzin latem przepowiadała: „Jeszcze się zdziwi ten mały czort”. Jak to często bywa, życie potwierdziło jej słowa. Jeśli Bóg okaże się łaskawy wobec rodziców chłopca, za cztery miesiące Otto miał dzielić się ich miłością z kimś jeszcze. Przyszły dziedzic nie był niczego świadomy. W wyższych sferach za nie stosowne uchodziło rozmawianie z dziećmi, w szczególności z synami, o odmiennym stanie ich matki.

— Dlaczego — Otto nie dawał za wygraną — nie wolno mi się pobawić z tymi dziećmi na dworze? — Znalazł drogę do kuchni i z rękami skrzyżowanymi na plecach zatarasował dostęp do piecyka.

— Dlatego — skwitowała matka. Jedną ręką odsunęła syna z drogi. — Nie mówi się „tymi dziećmi”. Gdzieś ty się tego nauczył?

Nadszedł czas, by wyjaśnić Ottonowi Wilhelmowi Samuelowi Sternbergowi, że małe dzieci również muszą przestrzegać towarzyskich reguł gry. Synowie dozorczy oraz dzieci furmana nie zaliczali się w opinii pani Betsy do grona wybranych przyjaciół jej pierworodnego, który przecież zamieszkiwał pięciopokojowe mieszkanie z dwoma balkonami i który w przyszłości będzie nosił marynarskie ubranko również w dni powszednie. Dla Sternbergów oznaczało to, że muszą się rozejrzeć za nowymi towarzyszami zabaw dla swojego pupilka.

— Kto z kim przestaje, takim się staje — wymruczała z nad głowy Ottona przezorna matka.

Przy ulicy Sandweg we frankfurckim Ostendzie, gdzie przyszedł na świat, ludzie nie byli kapryśni. Kobiety przystawały tam na ulicy, aby pogawędzić, a mężczyźni spotykali się na zakupach. Dzieci traktowano jak młode psy. Pozwalano im robić, co chciały, i karcono, gdy nie dawały się natychmiast przywołać

do porządku, ale maluchy nie musiały się troszczyć o społeczne konwenanse. Wolno im było bawić się na ulicy oraz decydować, z kim się przyjaźnią. W Ostendzie mały Otto poznał wyłącznie tę bez troską stronę życia. Kto słyszał, jak peroruje, nie wątpił, że był frankfurckim chłopcem, i to takim, który nie da sobie w kaszę dmuchać. Kiedy grał w piłkę z małym Karlem z ulicy Baumweg i Heinerem z Ingolstädter Strasse, szyby drżały, a serca rosły. Nikt z dorosłych nie mówił o manierach czy tradycji. Matki przyjaciół Ottona opierały eleganckich ludzi, ojcowie zniknęli, zanim chłopcy zdążyli się narodzić. W małych mieszkaniach unosił się zapach kapusty i żuru, a w sobotnie wieczory odbywało się szorowanie od stóp do głów w małej ocynkowanej balii, która stała na krześle w kuchni.

— Dziś jest dzień przełomu — oświadczył o poranku w dzień przeprowadzki ojciec Ottona. Na ogromny wóz załadowano szerokie dębowe łóżka małżeńskie, stół z jadalni wraz z krzesłami i komódką, łóżeczko Ottona i jego konia na biegunach, polakierowaną na biało dziecięcą szafę, komody na toczonych nóżkach, dwa stoliki na lwich łapach z marmurowym blatem, książki, obrazy oraz duży wiszący zegar z wahadłem, który bił co pół godziny. Meble z sypialni, wyposażenie kuchni, naczynia i masywny uszaty fotel oraz skrzynie z ubraniami załadowano na drugi. Krzepkie konie pociągowe rżały. Przechodnie przystawali, kobieta w niebieskim fartuchu pokręciła głową i stęknęła: „Też chciałabym mieć kiedyś tyle rzeczy”.

— Psiakrew — powiedział mały Otto.

— W ten sposób, mój synu — ofuknęła go ojciec, którego ciągnęło ku nowemu życiu — wyrażają się jedynie furmani.

— Chcę zostać furmanem.

— Dziecku nie przystoi mówić o tym, czego chce.

Głowa małej rodziny Sternbergów nadzwyczaj wcześnie spełniła swoje marzenie o szacunku i bogactwie. Johann Isidor po części zawdzięczał to zupełnie niespodziewanemu w owym momencie wsparciu ciotecznej babki Luise. Przemiła siostra nietaktownej Hermine była majątną oraz bezdzietną wdową. Co zaś najistotniejsze, żywiła nietypowe przekonanie, że posiadanie bogactw przynosi zmartwienia.

— Przyjemniej jest — powiedziała w szczęśliwą dla Johanna Isidora godzinę — dawać ciepłą niż zimną ręką.

W przeciwieństwie do swojego brata Samy'ego i jego trzech siostr, które już jako młode dziewczyny sprawiały wrażenie starych panien i były równie zawistne, jak pamiętliwe, ukochany siostrzeniec Luise wydawał się jej nieulekły, szczery i mądry. Bogata ciotka obdarowała go tak szczerze, jakby był jej własnym synem. Od tamtego czasu nie spędzała ważnych żydowskich świąt ani urodzin ze swoim mopsem i migreną w domu w Kassel, tylko w zdrowiu i radosnym nastroju z Johannem i jego małą rodziną we Frankfurcie.

— Woda w Menie — zwykła mówić przy każdym pożegnaniu — to doprawdy lekarstwo dla takiego szalonego starego pudła.

— I wino jabłkowe też — zauważył Otto. W swoim dziecięcym dążeniu do prawdy miał oko tak samo baczne jak jego ojciec.

Johann Isidor nie należał do tych, którzy chcieliby się wygodnie urządzać na koszt starszej bogatej kobiety. Był pilny, energiczny i odważny, zadowolony tylko wtedy, gdy rozwijał nowe pomysły, i pochłonięty swym awansem. Nie odpoczywał nawet w piątkowe wieczory, które pomimo zasymilowania celebrował jak jego przodkowie w tradycyjny sposób, ani

w pozostałe święta religijne. Kiedy powolnym krokiem szedł z synem do synagogi znajdującej się przy parku Friedberger Anlage, mając wszelkie powody, by dziękować za to, co zostało mu przeznaczone, rozmyślał, jakie cele chciałby jeszcze osiągnąć.

Handlarz suknem Johann Isidor Sternberg był wprawnym kowalem swojego losu. Nieustająco dbał, by nie przegapić żadnej szansy, z uwagą obserwował giełdę i nie tylko tam potrafił się włączyć w odpowiednim momencie. W nowo wybudowanym domu przy Hasengasse otworzył sklep z guzikami, lamówkami i innymi wyrobami pasmanteryjnymi. Mówiło się, że w przyszłości to w tej okolicy będzie się toczyć życie, rzeczywistość zaś przerosła nawet te przewidywania. Do klientek pasmanterii Sternberg należały damy z wyższych sfer, małżonki urzędników i guwernantki, krawcowe wszelkiej proweniencji oraz niejedna skromna panna, która liczyła się z groszem i miała wycucie do rzeczy wyjątkowych. Już po pół roku właściciel musiał zatrudnić drugiego sprzedawcę oraz ucznia.

— A co byś powiedziała na sklep z kapeluszami? — zapytał pewnego dnia przy kolacji żonę.

— A gdzież można taki kupić?

— Nie mam pojęcia, ale kapelusze nosi się zawsze.

— Teoretycznie mógłbyś również szyć mundury — skwitowała sceptycznie małżonka. — Wojny też będą zawsze.

Swój pomysł ostatecznie pozostawił modystkom, niedługo później jednak firma Sternberg wślawiła się najlepszym filcem i najbardziej eleganckimi dodatkami do finezyjnych damskich kapeluszy.

W roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym Johann Isidor kupił udziały w wydawnictwie. Prowadziło ono interes nie-

zwykle dobry i zgodny z duchem czasu: publikowało pocztówki. Co roku do miasta zjeżdżało coraz więcej turystów, wzrastało więc zapotrzebowanie na pamiątki. Na krótko przed przełomem wieków rzutki kupiec nawiązał kontakt z pewnym prywatnym bankiem. O pertraktacjach co do uczestnictwa w tym interesie nie wiedział nawet Salomon, przyjaciel Johanna Isidora z młodych lat, prawnik, którego poradom ufał on bezwzględnie. Pani Betsy coraz częściej słyszała, że jej mąż ma złote ręce.

Podobne komplementy nieustannie wyczarowywały uśmiech na twarzy tej rozważnej kobiety, nigdy jednak nie dawała poznać, ile tak naprawdę wie. Jej małżonek stał się właścicielem domu na sześć miesięcy przed czterdziestymi urodzinami. Kiedy w późniejszych latach rozmowa schodziła na temat jego majątności, bez cienia skrupowania opowiadał, że początkowo myślał o jakimś skromnym domku na przedmieściach Frankfurtu, a to „jego mądra żona” najbardziej przyczyniła się do sukcesu.

— Nie będzie pan żałował swojej decyzji — powiedział notariusz w trakcie sporządzania umowy sprzedaży. — Znaczący temat wiele się po Nordendzie spodziewają.

— Ja nigdy niczego nie żałuję — oświadczył Johann Isidor. Tylko ten, kto go nie znał, mógłby jego pewność siebie pomylić z pychą.

Wybór mieszkania w ich domu pozostawił żonie, co całe życie stanowiło dla niej powód do zadowolenia. Jak zawsze podjęła decyzję z ekspercką przezornością.

— Na pierwszym piętrze nie jest się narażonym na hałas ani kurz z końskich kopyt, ani na żebraków — argumentowała. — A poza tym służba nie będzie co chwilę latać na ulicę, żeby trąkotać.

Lokale na parterze i drugim piętrze nieruchomości były już odnajęte na dobrych warunkach, ale jeszcze niezamieszkane. Na te na trzecim i czwartym także znaleźli się już zdecydowani chętni. Sternberg również jako najmodawca rozważał każdą ofertę po dwakroć. Podczas pierwszego posiłku w nowym domu Betsy zapytała z udawaną niewinnością, która niemal zawsze sprawiała, że serce jej męża zaczynało topnieć, czy mieszkania, które stoją puste, nie przynoszą strat.

— Lokatorów — pouczył ją — nie można zmieniać jak rękawiczek. Tylko ten, kto uprzednio zdejmie miarę, jest potem zadowolony, moja droga.

Roztropny przedsiębiorca chciał wynająć pomieszczenia na poddaszu wraz z mieszkaniami — w dobrych okolicach nie uchodziło kwaterować służby we własnym mieszkaniu ani ograniczać się do gosposi.

Wraz z przeprowadzką w aleję Rothschildów zmienił się też status pani Sternberg. Przy ulicy Sandweg, zgodnie ze sprawdzonym obywatelskim obyczajem, wyznawano zasadę „skromnie, acz schludnie”. W co czwarty poniedziałek przychodziła praczka, była też służąca Maria. Jej jednak pani domu nie mogła powierzyć nawet mycia codziennej zastawy, nie wspominając o kryształowych kieliszkach, porcelanowych wazach czy drogich piecach kaflowych w salonie. Betsy sama prasowała również koszule męża i własne delikatne bluzki z jedwabiu. W piątki czyściła srebra, a przez cały tydzień obierała warzywa, dbała o meble i wysyłała Marię do mleczarza jedynie wtedy, gdy z powodu niedyspozycji sama nie mogła wyjść z domu. Pomimo wszelkich zastrzeżeń Betsy nie chciała się z dziewczyną rozstać. Zatrzymała również praczkę. Dodatkowo zatrudniła Josephę, która po sześciu

tygodniach wzbudzała zazdrość wszystkich jej przyjaciółek, krewnych i znajomych.

— Złota kobieta — zachwycała się pani domu zaledwie po dwóch dniach.

— Złoto również niekiedy traci blask — tonował Johann Isidor. Nie ufał ani przedwcześnie przyznawanym laurom, ani wielkim słowom.

Josepha Krause, zatrudniona dopiero w dniu przeprowadzki, pomagała już podczas pakowania, wypucowała każdy kąt nowego lokum i każdy zakamarek piwnicy; wyjątkowo pieczołowicie uprzątnęła podwórze i wyczyściła nową bramę z kutego żelaza.

— Ludzie od razu powinni widzieć, że wiemy, jak być powinno — oświadczyła. Próbowwała też dotrzeć do nieco trudnego syna swojej pracodawczyni. Była przy tym równie taktowna, jak niestrudzona. Nieraz jednak korciło ją, aby silną dłońią wymierzyć małemu Ottonowi klapsa.

Josepha pochodziła ze wsi w Wetterau. Kiedy obierała ziemniaki czy łuskała groch, a łaskawa pani była akurat w kuchni, potrafiła długo i barwnie opowiadać o jabłkach, które tam rosły i które dostarczano do Bad Nauheimu zawsze, gdy tylko przyjeżdżała caryca ze swymi pięknymi córkami i rodzeństwem z Darmstadt. Josepha nie tęskniła za krewnymi, właścicielami małego gospodarstwa. Nawet na Boże Narodzenie nie ciągnęło jej do domu. Pod każdym względem była dokładnie taką służącą, jakie cenili kobiety z wyższych sfer: umiejącą gotować, bez zobowiązań i własnych potrzeb. Dużo przyjemniej było planować przyszłość właśnie z kimś takim aniżeli z lekkoduchem, który ma jeszcze pstro w głowie i apetyt na życie.

Josepha nie była już panną na wydaniu. Miała początki przerostu tarczycy i masywne nogi, a w ciemnych fartuchach

chodziła nawet w niedzielę. Wynikało stąd, że nie będzie raczej stanowić zagrożenia dla obyczajności pana domu, a kiedy mały Otto podrośnie, nie stanie się powodem do obaw i o jego niewinność. Josepha była krzepka i zdrowa, do tego szczerą, skromną, sumienną i bogobojną. Rzadko narzekała i nie stawiała żadnych wymagań co do jedzenia. Wszystko to wynikało z referencji, które przedłożyła Sternbergom. Z gęsto zapisanej strony płynęła informacja, że panienska Josepha Walburga Krause jest na wskroś wierną służącą, z którą *z a l s i ę r o z s t a ć*. Przez ponad pięć lat pracowała w domu lekarza przy eleganckiej Forsthausstrasse we frankfurckiej dzielnicy Sachsenhausen. Przedstawiając się, powiedziała, że „u doktorostwa”, którzy ku jej zgryzocie sprowadzili się z powrotem na Bergstrasse, bardzo często musiała zastępować kucharkę chorą na woreczek żółciowy, dlatego zdobyła szeroką wiedzę o wykwentnej kuchni. Jak mówiła, potrafiła też piec, wekować owoce i warzywa, przygotować mus śliwkowy i oprawiać kury.

— Pan doktor — chlapnęła już drugiego dnia w domu Sternbergów — był obżartuchem. Za moją pieczeń wieprzową sprzedałby własną matkę.

— Tutaj się to pani nie przytrafi — uprzedziła pani Betsy. — Jesteśmy Żydami i nie jemy wieprzowiny.

Josepha była zaskoczona, okazała się jednak tolerancyjna i dobroduszna. Nie obruszyła się.

— Nic nie szkodzi — oświadczyła. — Państwo przecież też są ludźmi.

Maria, służąca z dwiema lewymi rękami, pochodziła z Vogelsbergu. W poprzednim mieszkaniu spała na materacu w kuchni i myła się w wiadrze. Była absolutnie przekonana, że po przeprowadzce Sternbergów zostanie zwolniona. Ogarnęło ją

wzruszenie, kiedy dowiedziała się, że ona także ma się przenieść w aleję Rothschildów, a do tego zamieszkać we własnym pokoju. Pół dnia nie potrafiła powiedzieć nic innego niż „tak” i „nie”. Prawie nie tknęła obiadu, choć podano zupę z soczewicy, którą wyjątkowo lubiła, i dwa razy krwawiła z nosa. Ta dziewczyna z warkoczami grubymi i długimi jak u Roszpunki była nieślubnym, a w związku z tym nędznie obdarowanym przez życie dzieckiem chłopskiej dziewczki. Z perspektywą posiadania własnej izby Maria czuła się jak księżniczka, którą widziała pewnego razu w książce z bajkami małego Ottona. Od tamtej pory nie marzyła już jednak o złocie i klejnotach, ale o małżeństwie z niejakim Wernerem Hasslingerem oraz o pokoju z kuchnią i bieżącą wodą. Od sześciu miesięcy w wolne od pracy niedzielne popołudnia posterunkowy Werner zabierał bowiem Marię na tańce, a w ostatnim czasie, zanim dziewczyna wyszła z domu, ciężarna pracodawczyni surowo napomniała ją, by „nie dała się przypadkiem wrobić w dziecko”.

Betsy Sternberg, urodzona jako Bertha Luise Strauss, nieczęsto wyrażała się w sposób odpowiadający jej czasom i światopoglądowi jej klasy społecznej. Nie była ani arogancka, ani dominująca i unikała zwracania na siebie uwagi bardziej, niż było trzeba. Pani Betsy przeciwstawiała się przedwczesnym pochwałom i powierzchownym pochlebstwom. Nie chciała, żeby okazywano jej szacunek jedynie ze względu na płeć. Nie zmieniło się to nawet w trakcie ciąży. Właśnie w okresie oczekiwania na potomka, pani domu wykazywała nad wyraz dobrą kondycję i świetny nastrój, gotowość do działania i stanowczość.

Betsy była najstarszą z córek wcześniej owdowiałego handlarza precjozami i jubilera Siegfrieda Straussa z Pforzheim. Dziewczynki wychował on bez zarzutu, jak jednak powiadano,

dość swobodnie. Ku zdumieniu krewnych Siegfried zachęcał rezolutną córkę, by zajmowała się nie tylko pracami ręcznymi, ale też rozwijała duchowo. Betsy dobrze grała na skrzypcach i porządnie na pianinie. Czytała wszystkie książki o muzyce, które przynosił jej nauczyciel, podczas rodzinnych uroczystości recytowała wiersze Eichendorffa oraz długie ballady Schillera. „A malować potrafi jak Rembrandt” — zachwycił się dziadek.

Dzięki niemu wnuczka już w wieku ośmiu lat potrafiła płynnie czytać po hebrajsku. Jako dwunastolatka nauczyła się od babki piec tradycyjną plecioną chałkę z makiem na szabasowy wieczór. Po francusku Betsy Straussówna parlowała lepiej niż wszyscy jej absztyfikanci. Miała poczucie względności życia i analityczny umysł, dzięki któremu nie myliła przyczyn ze skutkami. Będąc żoną, miała więc przez cały czas świadomość, że splendor, który ją otacza, w znakomitej części zawdzięcza swemu ambitnemu mężowi. Zawsze, kiedy patrzyła w lustro, była wdzięczna czasowi, że łaskawie obchodzi się z jej urodą. W pierwszych miesiącach drugiej ciąży, jako dwudziestoosmiolatka, wydawała się wciąż tamtą dziewczynką, która pod jabłonką w rodzinnym Pforzheim bawiła się z siostrami w ciuciubabkę. Jej cera pozostała nieskazitelna, orzechowe włosy błyszczwały, zielone oczy emanowały radością życia. Największym darem Betsy była zdolność do pozostawiania w dobrym nastroju. Miała trzech studiujących braci oraz dwie siostry, piękne niczym Królewna Śnieżka; obie poślubiły mężczyzn z tytułem doktorskim, a jednak to ona całe życie pozostawała ulubienicą ojca.

Jako gospodyni była oszczędna, w małżeństwie uległa, jako matka oddana i zawsze cierpliwa. Stanowcza stawiała się jedynie, gdy szło o jej dzieci. Po narodzinach drugiego w domu

pojawić się miała niania, później guwernantka. A kiedyś — zwierzyła się swemu mężowi — mogliby zatrudnić nauczyciela jazdy konnej dla Ottona. Cesarz siedział na koniu już jako bardzo małe dziecko.

— Wybudowaliśmy dom, nie pałac. Zapamiętaj to, drogie dziecko. Im mniej pragnień, tym większe zadowolenie.

Nie zadowolony, lecz wprost dumny jak paw był ten rozważny małżonek, kiedy zapraszał kogoś na bankiet. Obfity stół stanowił u nich oczywiste prawo gości, a nie wymóg losu. Pani Betsy gotowała wybornie, w sposób zdecydowanie bardziej wyrafinowany, niż było to w zwyczaju w Hesji, zawsze na najwyższym poziomie. Również to zawdzięczała ojcu — jubiler Siegfried Strauss w każdej sytuacji życiowej miał bowiem na względzie to, że w przypadku drogiego kamienia najważniejszy jest perfekcyjny szlif. Kiedy Betsy, najdroższy jego sercu brylant, ukończyła gimnazjum dla dziewcząt, wysłał ją na rok do znanej placówki w Montreux. Jej wychowanki kształcono na idealne panie domu i gospodynie, umiejące zarówno zabawić innych konwersacją, jak i gotować oraz piec, a także obchodzić się ze służbą. Wiele osiemnastolatek od razu po opuszczeniu szkolnej ławy zostawało żonami. Żonami eleganckich mężczyzn, których stać było, by potencjalną pannę młodą pierwszej obejrzyć, a potem zapytać o wysokość posagu.

Ortodoksyjna część rodziny Straussów potrząsała głowami. Byli zgodni co do tego, że „obląkany Siegfried” swoją gojowską pozą zrazić miał biedną dziewczynę do własnej rodziny i wiary ojców. Betsy jednakże nie doznała nawet najmniejszego uszczerbku za sprawą wyjścia na spotkanie ze światem, poszerzenia horyzontów. Kiedy żegnała się ze Szwajcarią, nie uważała

gotowania za obowiązek ani brzemień kobiety zamężnej, lecz za sztukę. Wykwintna francuska kuchnia była jej znana równie dobrze, jak smakowite jedzenie z badeńskich stron rodzinnych. Znała przepisy, których nie było jeszcze w żadnej niemieckojęzycznej książce kucharskiej. Przyjaciele oraz znajomi jadający czasem obiady w domu Sternbergów z przejęciem opowiadali o stekach z polędwicy sauté, wołowinie po burgundzku i pasztecikach z ciasta francuskiego z gęsimi wątróbkami.

— A to wszystko w normalną środę — relacjonowała pani Rose. Jej mąż miał fabrykę artykułów skórzanych i każde lato spędzała w Karlsbadzie, wiedziała więc, jak żyją wytworni ludzie.

Dla pani Betsy oczywiste było, że musi dać się pokierować swojemu mężowi. Jeden tylko raz, kiedy dowiedziała się o domu na obrzeżach miasta, który Johann Isidor zamierzał kupić, przejęła inicjatywę. Gdy utrudzony po długim dniu siadał wieczorem do stołu, strażniczka domowego ogniska ożywiła się. Zawsze miała w zanadrzu nowe argumenty przemawiające za czynszówką w mieście. Pewnego piątkowego wieczoru, pomiędzy faszerowanym szczupakiem a rosołem, dyplomatycznie napomknęła o swoim błogosławionej pamięci wuju Heinrichu. Nie bez przyczyny. Ten niezapomniany człowiek dorobił się fortuny, która jeszcze dziesięć lat po jego śmierci określana była przez wszystkich krewnych jako niespotykana. „Jedynie głupcy i marzyciele marnotrawią swój kapitał, ładując go we własny dom” — napominał najbliższych za każdym razem, kiedy ktoś chciał kupić dom, w którym było miejsce jedynie dla jego własnej rodziny. Nawet kiedy posiadał już dwa domy w Pforzheim oraz jeden w Baden-Baden, i mógłby sobie pozwolić na to, by również w poniedziałek zjeść kurczaka, nadal wynajmował dwa pokoje w swoim mieszkaniu.

Johann Isidor przyglądał się portretowi błogosławionej pamięci wuja Betsy. Wisiał na ścianie jadalni od dnia, kiedy się pobrali. Po dłuższym zastanowieniu rzucił zwieszę: „Ha!”. Twarz lekko mu poczerwieniała. Ustąpił dziesięć minut później, przy czym pierwszy raz zakiełkowało w nim podejrzenie, że na żonę wybrał kobietę o wielorakich przymiotach. Bóg obdarował tę piękność nie tylko sprawnymi rękami, powściągliwym językiem i radosnym usposobieniem, ale również głową, której miejsce było na męskim karku.

Po raz pierwszy od swoich siódmych urodzin, gdy dostała lalkę z blond lokami, której bardzo długo pragnęła i natychmiast spróbowała wytargować dla niej jeszcze jedwabną pelerynkę, ta wspaniała kobieta nie zadowoliliła się jednym zwycięstwem. Trzy dni po pamiętnej kolacji zaczęła mówić o pewnej nieruchomości przy alei Günthersburga. Ulica ta przecinała aleję Rothschildów. Neoklasycystyczny dom, który zachwyił Betsy, wzniesiono z czerwonego piaskowca. Przypominał zamek. Miał wykusze, okna różnej wielkości, wieżyczki i balkony z małymi greckimi kolumnami. Architektoniczne cudo wybudowane rok wcześniej można było kupić tylko dlatego, że potencjalny nabywca uległ w Bad Homburgu ciężkiemu wypadkowi podczas jazdy konnej i nie był już zdolny doprowadzić zakupu do końca.

Betsy odkryła ten dom podczas jednego ze spacerów z Ottonem.

— Taka chatka to nie lada gratka — mówiła wierszem, gdy opowiadała o nim przy niedzielnej kawie i cięcie ze śliwkami. — Ależ ludzie by nam zazdrościli. — Oblała się rumieńcem, zanim jeszcze teatralnie westchnęła. Zawstydzona spuściła głowę. Mąż spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Pycha poprzedza upadek — zganił ją. — Najlepszy interes to taki, o którym się nie mówi. — Mimo podenerwowania

okazał się jednak wielkoduszny i złożył chwilową nieskromność Betsy na karb jej stanu. Wyrozumieli mężowie akceptowali to, że żony przy nadziei przejawiały skłonność do przekraczania granic. — Zobaczę — zaśmiał się roztropnie — czy uda się spełnić twoje marzenie, by podłogę w jadalni i salonie wyłożyć parkietem.

— Jak wspaniale! — powiedziała Betsy. Jej drugie westchnienie było oznaką ulgi.

Właściwie Johann Isidor Sternberg już wcześniej obejrzał wystawiony na sprzedaż dom przy alei Günthersburga. Nie odpowiadał ani jego gustowi, ani naturze.

— To coś dla ludzi, którzy nie nauczyli się odróżniać złudzeń od prawdy — oznajmił pośrednikowi składającemu ofertę. Z lekka szorstko i bardzo zdecydowanie. Od swego błogosławionej pamięci ojca, handlarza byłem z Schotten w Górnej Hesji, Johann Isidor w porę nauczył się, że mężczyzna nigdy nie powinien zwracać uwagi swoją majątnością. „Skromny wygląd — wbijał mu do głowy ojciec — jest ważniejszy niż nowe palto”.

Dlatego też zapobiegliwy przedsiębiorca zdecydował się nabyć dom przy alei Rothschildów.

Ponieważ nigdy nie zapomniał lekcji udzielanych mu przez ojca, skłaniał się ku temu, by pierwszy posiłek w nowym domu był skromny.

— To cesarz obchodzi urodziny — przypomniał, kiedy Betsy miała planować jadłospis na sobotni wieczór — nie ja.

— Przecież specjalnie zaprosiliśmy ciotkę Luise, aby świętowała z nami.

— Właśnie ona ma za nic ludzi, których pieniądze się nie trzymają. W przeciwnym razie jeszcze przez kilka lat mieszkalibyśmy przy Sandweg. Wierz mi.

Z dumą i godnością pani domu nie mogą jednak wygrać nawet despoci. Podano kluseczki ze szczupaka na przystawkę, bu lion po florentyńsku według przepisu madame Suzette z pensji w Montreux, cielęcinę w maderze, kurczaka w burgundzie oraz zapiekane ziemniaczane kuleczki, a na deser chałkę migdałową, której ciotka Luise nie potrafiła się oprzeć. Suto zastawiony stół był zdecydowanie po myśli pani Betsy. Miała znakomity nastrój i niczym panna młoda przepełniona była radosnym oczekiwaniem.

Luise Dreifuss wzniosła kieliszek. Czerwone wino pobłyskiwało w świetle nowego żyrandola. Staruszka z zachwytem przyglądała się swemu ukochanemu siostrzeńcowi. Przypomniała sobie pewną majową noc, o której nie wiedział nikt poza nią.

— Za pomyślność — powiedziała. — Mądrość dom buduje, a rozsądek utrzymuje. Myśl, że jeszcze twoje wnuki będą siedzieć przy tym stole i cieszyć się migdałową chałką swej babki, przepelnia mnie szczęściem.

Johann Isidor nie był ani przesądny, ani pobożny. Mimo to miał opory, by zaklinać przyszłość. Spojrzał najpierw na zaokrąglony brzuch swej żony, a następnie na sztukaterię na suficie.

— Jak Bóg da — powiedział cicho.





Frankfurt, 1900 rok. Betsy, inteligentna, racjonalna i młoda kobieta oraz jej mąż Johann Isidor, rzutki przedsiębiorca z niemałą fortuną, wprowadzają się do domu przy alei Rothschildów 9. Są szczęśliwi, mają dziecko. Wkrótce przyjdą na świat kolejne.

Nie minie jednak wiele lat, gdy na powierzchni harmonijnej sielanki pojawią się pierwsze oznaki nadchodzącej katastrofy...

Wybucho I wojna światowa. Zmienia ona życie Niemców, a w szczególności tych pochodzenia żydowskiego, którzy od nowa muszą uporządkować swój świat i zrewidować wartości, którymi się dotąd kierowali.

Stefanie Zweig otwiera drzwi do niezwykłego świata. Pozornie dobrze znanego, a jednak odległego — do świata, w którym rozgrywa się niezwykle barwne i ciekawe, choć naznaczone trudnymi wyborami życie bohaterów. Dzięki wyobraźni, dbałości o historyczny szczegół i głębokiemu poczuciu człowieczeństwa ta bestsellerowa autorka przedstawia losy żydowskiej rodziny mieszkającej we Frankfurcie do 1917 roku.

## Dom przy alei Rothschildów

— pierwszy tom sagi rodzinnej — staje się symbolem czasu, który na nowo określił bieg historii Europy.

Cena: 34,90 zł

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)

